

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Próba rehabilitacji Bacona

Lord Franciszek Bacon jest postacią zajmującą nie tylko ze względu na swoje zasługi około rozwoju filozofii i nauk w ogóle. O fantastach i maniakach, którzy przypisują mu autorstwo dzieł Szekspira (a także czasem całego mnóstwa innych współczesnych utworów, dramatycznych i niedramatycznych) wspominać niewarto. Ale sam charakter Bacona zasługuje na miano wyjątkowego.

Uczył niegdyś Sokrates, że każda cnota pochodzi z mądrości i jest z nią w gruncie rzeczy identyczna. Tymczasem Bacon przy wielkiej mądrości, wykształceniu, umiłowaniu wiedzy i żądzy jej wywyższenia w życiu ludzkim oraz spożytkowania dla szczęścia przyszłych pokoleń, popełnił szereg czynów, piętnujących go jako człowieka żądne go ziemskich dóbr i zaszczytów, niewdzięcznego, służalczego i sprzedajnego. Wysoka inteligencja łączy się często ze zbrodniczą ambicją, ale połączenie, jakie spotykamy u Bacona, jest niewątpliwie niezmiernie-rzadkie.

Pochwycił je mistrz przeciwstawień Macaulay w szkicu, napisanym z powodu zbiorowego wydania dzieł Bacona z lat 1825—1834. Basil Montagu, który zaopatrzył je w komentarz, uległ ich urokowi. Jak wyraża się Macaulay, sądził po owocach o drzewie. Starł się więc lorda kanclerza oczyszczać ze wszystkich zarzutów i wyidealizować. Było to ponad ludzkie siły. Zato łatwe i wdzięczne zadanie miał Macaulay, gdy wziął się do zburzenia tego gmachu.

Zastosował on do Bacona jego własne słowa z *De augmentis scientiarum* o ludziach „co są wiedza, jak aniołowie skrzydlaci, namietnościami, jak węże, czolgające się po ziemi” (*scientia tamquam angeli alati, cupiditatibus vero tamquam serpentes, qui humi reptant*). Według Macaulay'a do zrobienia tej uwagi nie potrzebował Bacon wyteżać swej podziwu godnej roztropności i głębokiej znajomości ludzi. Wystarczyło mu popatrzyć w głąb siebie. „Różnica między bujającym pod niebem aniołem a pełzającym gadem była jedynie symbolem różnicy między Baconem filozofem a Baconem prokuratorem generalnym. Baconem dążącym do prawdy, a Baconem dążącym do pieczęci kanclerskich”. W filozofii (w której zwalczał średniowieczne prądy) nic go nie mogło zawrócić z obranej drogi, ponieważ „Tomasz z Akwinu nie płacił honorariów, Duns Scotus nie mógł nadawać godności par”. W trybunach, w Izbie Gmin, na pokojach królewskich było inaczej...

Efektownie ujmując rzecz Macaulay, ale tym razem nie można mu zarzucić, że, jak zdarzało mu się kiedyś, poświęca prawdę efektownemu przeciwstawieniu. Podobno drżąc swój szkic o Baconie, miał powiedzieć redaktorowi pisma, że pogląd jego „znajdzie poklask u mas, cokolwiekby na ten temat myśleli nieliczni, wiedzący to i owo o przedmiocie”. I rzeczywiście spotkał się

natychmiast z surowym sądem lorda Broughama; później z opozycją paru wydawców Bacona, obecnie zaś ukazała się monografia Karola Williamsa, który idzie dalej, niż którykolwiek z poprzedników, tłumacząc i usprawiedliwiając każdy postępek lorda kanclerza i dochodząc w tej apologii wprost do apoteozy.

Cóż z tego, kiedy słusność jest nie po stronie kilku wybrańców, olśnionych naukowymi zasługami Bacona, lecz po stronie Macaulay'a i tłumu?

Przyjrzyjmy się zarzutom, jakie ciążą na autorze *Novum Organum*. Jako młodszy syn lorda kanclerza, pokrzywdzony przy podziale spadku, sposobi on się do kariery prawniczo-politycznej i ustawicznie zasypuje wszechwładnego ministra Elżbiety Burghley'a prośbami o posady. To można wybaczyć i zdaje się, że Williams, polemizując na ten temat z Macaulay'em i innymi, wybija drzwi otwarte.

Burghley ma jednak do zaopatrzenia przede wszystkim własnych synów, jest więc głuchy na błagania bratanka. Bacon stara się o łaski królowej, ale zraża ją sobie opozycyjną mową — jedyną w życiu opozycyjną mową — wygłoszoną w Izbie Gmin. Przekonawszy się, że wywarł złe wrażenie, wypiera się tego, co powiedział i usiłuje zatrzeć swą winę uległością. Daremnie. Wówczas zbliża się do faworyta królowej Essex, doznaje od niego szeregu dobrodziejstw, także materialnej natury. Mimo to podejmuje się oskarżenia Essex, gdy temu powinęła się noga na śliskiej posadce dworskiej i gdy ambitny magnat próbował niefortunnie zamachu stanu. Oskarża go bynajmniej nie od niechcenia, walcząc zresztą wcale nie po rycersku, ponieważ w owym cza-

sie obwinieni o zdradę stanu nie mieli prawa do obrony, i uzyskuje wyrok śmierci, a po ścięciu hrabiego pisze jeszcze z polecenia królowej broszurę na temat ogromu jego winy.

Williams usiłuje wykazać, że Bacon próbował ocalić swego dobroczyńcę, ale nie mógł nic poradzić, ponieważ Burghley dążył do zguby Essex. Elżbieta była chwiejna i zmienna, a sam Essex niesłuchanie lekkomyślny i nierozważny. Widząc, więc, że zguba jego jest nieunikniona, Bacon podjął się oskarżenia, zapewne powiedziawszy sobie: „Nie ja, to kto inny.” Może tak i było. Ale takie pięcie się do zaszczytów i bogactw po trupie dobroczyńcy nie da się żadną miarą usprawiedliwić. Sofistyka sofistyką, a słusność ma Macaulay, gdy mówi: „Człowiekowi o wzniosłym umyśle bogactwo, władza, łaska monarsza, nawet osobiste bezpieczeństwo wydałyby się niczem, przeciwstawione przyjaźni, wdzięczności, honorowi.” Bacon dopuszczał się później czynów nikczemniejszych, ale proces Essex musi pozostać największą hańbą jego życia.

Oto dalszy rejestr jego przewinień, które już będę traktował krócej: Po zgonie Elżbiety wznosi się Bacon coraz wyżej w hierarchii urzędniczej, otrzymbuje coraz nowe godności i tytuły. Zawdzięcza to pochlebstwu i służalczości względem Jakóba I i jego ulubieńców. Jako prokurator generalny wpływa ubocznie na sędziów przy procesach o zdradę stanu, a w śledztwie stosuje tortury, już prawnie zniesione. Jako lord kanclerz, a więc głowa sądownictwa angielskiego, wygotowuje akta monopolów, również sprzecznych z prawem, dających pole do niesłychanych zdzierstw i nadużyć, więc słuszenie przez naród

znieawidzonych. Otacza się wygodą i przepychem, to też nie wystarczają mu pokątne pensje i dochody z dóbr — kupczy sprawiedliwością, używając do tego pośredników, którzy żądają od stron darów dla lorda kanclerza. Do tego procederu przyznaje się sam ze skrucho, gdy go oskarżono w parlamencie i ani król ani minister nie są zdolni ocalić swego narzędzia. Zostaje skazany na wysoką grzywnę, utratę wszystkich godności i więzienie bezterminowe („według uznania Jego Królewskiej Mości”). Odzyskuje wolność prawie bezpośrednio po wyroku, nie płaci grzywny, zostaje nawet przywrócony do dawnych tytułów lorda of Verulam i wicehrabiego St. Albans. Ale przecież ta łaska królewska świadczy jedynie przeciw niemu...

Williams usiłuje nawet ten ostatni epizod kariery publicznej Bacona przedstawić w korzystnym świetle. Oto lord kanclerz pożądał władzy, aby móc przysłużyć się ojczyźnie; potrzebował dobrobytu, aby móc robić swe doświadczenia naukowe. Nie przebiegał tedy w środkach, poświęcając rzeczy mniejsze większym...

Zdaje się, że byłoby rzeczą zbytęzną polemizować z takimi poglądami. Trzymajmy lepiej nadal z Macaulay'em, z Lyttonem Strackey i innymi surowymi sędziami Bacona.

Książka Karola Williamsa (Bacon. Londyn, Artur Barker, 1933) napisana jest z dużym darem jasnego i potocznego opowiadania. Nie może sobie jednak rościć pretensyj do naukowego charakteru. Poza tendencyjnym obrazem charakteru lorda kanclerza należy jeszcze wytknąć brak bibliografii. Autor opiera się na swych poprzednikach, nie wyliczając nieprzychylnych dla Bacona, ale nie zaznacza, gdzie poprostu powtarza ich poglądy, a gdzie użytkuje własne badania. Władysław Tarnawski

Książka polska zagranicą

Z okazji urządzanej w Warszawie Wystawy tego rodzaju pojawił się bardzo starannie opracowany przez pp. Aleksandra Guttry'ego i J. Muszłowski katalog, obrazujący ekspansję książki polskiej w okresie czasu od roku 1900 do roku 1933.

Katalog, jakkolwiek nie wyczerpuje zupełnie tematu i wykazuje pewne luki, wynika z przyspieszonego tempa pracy, — mimo to stanowi pierwszorzędny materiał informacyjny dla bibliografa. — a zawiera niezmiernie dużo danych, mogących zainteresować i szerszy ogół.

Dobrze więc będzie, zamykając rachunki za rok 1933, zorientować się na podstawie tego katalogu, jak wygląda nasza literatura zagranicą.

Przedewszystkiem stwierdzić należy duże zainteresowanie polską twórczością literacką u narodów słowiańskich: na pierwszym miejscu idzie Rosja przedwojenna z 434 przekładami,

— do czego dochodzi dalsze 149 pozycji w Rosji sowieckiej. Następnie idą: Czechosłowacja (396 pozycji), Jugosławia (80) i Bułgaria (78).

Czechosłowacja zajmuje i w ogólnym zestawieniu drugie miejsce, — przed Francją, w której ilość przekładów sięga 281 pozycji.

Również i Niemcy interesują się żywo literaturą naszą, jak świadczy o tem liczba 260 przekładów.

Natomiast stosunkowo bardzo mało tłumaczy się z polskiej literatury na język włoski. Katalog wylicza wprawdzie 178 pozycji, ale jeśli odliczymy od tego wszystkie przekłady Sienkiewicza (zwłaszcza „Quo vadis”), cyfra ta zredukuję się do stu zaledwie dzieł.

Drugi fakt, ni mniej ciekawy, to stosunkowo bardzo znaczna ilość przekładów z literatury polskiej w krajach skandynawskich i bałtyckich: Szwecja (62), Finlandja (24), Łotwa (20), Estonia (19), Danja (12), Norwegia (11).

W zestawieniu tem niebrak i Lit-

wy z 12 pozycjami, wśród których obok Mickiewicza, Orzeszkowej, Słowackiego i Żeromskiego figuruje... Mnisz Różka z „Trędowatą” i „Ordynatem”.

Wreszcie rozpaczliwie przedstawia się sytuacja u naszego sąsiada: Rumunii, — o ile można opierać się na danych zamieszczonych w katalogu. Ogółem 14 pozycji. — w czem 12 przekładów Sienkiewicza, jeden Przybyszewskiego i — jeden katalog wystawy sztuki polskiej! Zaniedbanie to winno być corychle naprawione, a w tej mierze głos powinna zabrać Liga polsko-rumuńska, rozwijająca ostatnio tak żywą działalność w kierunku przyswojenia naszej literaturze utworów pisarzy rumuńskich. Konieczną byłaby tu jakaś wzajemność!

Zadziwia też stosunkowo znikoma ilość przekładów na język angielski (63 pozycje), skoro weźmiemy pod uwagę ów formalny potop przekładów

z angielskiego, jakimi nasze firmy wydawnicze zalewają nasz rynek.

Krótkie to zestawienie uzupełnimy jeszcze kilkoma cyframi, ilustrującami najwymowniej, jacy pisarze polscy cieszą się największą poczytnością zagranicą.

Prym wiedzie tu bezapelacyjnie Sienkiewicz (o czym pisaliśmy obszerniej w swoim czasie). Drugi laureat Nobla, Reymont, tłumaczony był w siedemnastu państwach.

Dotrzymuje mu kroku F. A. Ossendowski, tłumaczony również w 17 pań-

stwach, między innymi w Stanach Zjednoczonych A. P., gdzie jego dzieło „Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów” doczekało się 30-go wydania!

Na czwartym miejscu dopiero stoi Żeromski, tłumaczony na 16 języków.

Z wielkich poetów naszych tłumaczony był Mickiewicz w trzynastu Słowacki w dziesięciu, Wyspiański w siedmiu, a Kasprówcz w pięciu krajach.

Jak z powyższego wynika, ostateczny bilans przedstawia się dla literatury naszej niezbyt wesoło. A gdybyś-

my z zestawienia odliczyli całą masę wydawnictw przedwojennych, dalej wszystkie publikacje propagandowe względnie subwencjonowane, — doszlibyśmy do cyfr poprostu rozpaczliwych. Trzeba coś działać, — nie oglądać się na subwencje, lecz rozwinąć propagandę czyto zapomocą Pen-Klubów, czy przez organizację zawodowe. Bo nasz dorobek literacki w ciągu ostatnich dziesięciu lat jest tak bogaty i wartościowy, że możemy się nim poszczycić przed zagranicą. Tylko trzeba umieć do niej trafić!..

(k. r.).

Garbniki i garbowanie skóry

Istnieje w chemii organicznej związek dobrze pod względem chemicznym zbadany i sztucznie syntetycznie otrzymany, o zwany kwasem dwugalusowym. Z kwasem tym w ścisłym związku pozostaje cała grupa połączeń, występujących w świecie roślinnym, a mających tę własność, że skóra staje się pod ich wpływem podatną i nieprzemakalną. Wszystkie te związki nazwano garbnikami. Znalezione je w korze dębu, drzew szpilkowych, w korze chinowej, w herbacie, kawie, galasówkach, w żywicy katalchu i wielu innych roślinach.

Główne zastosowanie mają garbniki do garbowania skór, tanina zaś, garbnik występujący w galasówkach, służy poza tym do zaprawiania (bajcowania) włókien roślinnych przy farbowaniu pewnymi barwikami, oraz do wyrobu atramentów.

Garbowanie ma na celu przemianę surowej skóry zwierzęcej w formę trwałą w tzw. rzemień, czyli skórę garbowaną. Skóra surowa w stanie wilgotnym ulega łatwo gniciu, po wyschnięciu zaś staje się twardą i zrogowaciałą; gotowana z wodą rozkłada się i przemienia w rozpuszczalny klej. Natomiast skóra garbowana nie gnieje tak łatwo, w stanie suchym zachowuje giętkość i elastyczność, a przy gotowaniu z wodą nie pęcznieje i nie przechodzi w klej. Aby skórę surową przemienić w rzemień poddaje się ją po stosownym oczyszczeniu, działaniu substancji, nasycających nazwę garbników, które osadzają się wewnątrz tkanki skórnej i nadają, owych cennych właściwości rzemienia. Niewiadomo, czy osadzanie garbnika w skórze jest procesem mechanicznym czy też zachodzi równocześnie chemiczne wiązanie garbnika w substancję skóry.

W praktyce rozróżniamy następujące rodzaje garbarstwa: garbarstwo roślinne, zwane czerwonoskórnictwem, garbarstwo mineralne, do którego zaliczamy garbowanie glinowe (alunowe) czyli białoskórnictwo, chromowe i bardzo rzadko stosowane żelazowe, oraz ostatni rodzaj: garbarstwo tłuszczowe zwane zamszownictwem albo ircharstwem.

Skóry przeznaczone do garbowania muszą być najpierw pozbawione włosa. W tym celu stosujemy zabieg zwany poceniem skór. Proces ten polega na rozwiązaniu skór mokrych na pewien okres czasu w zamkniętej przestrzeni wilgotnej. W skórze wszczynają się wtedy procesy gnilne, który na tyle spulchnia skórę i osłabia trwałość włosów, iż te bez wielkiego trudu mogą być zeskrobane.

Odwłosione skóry przechodzą następnie proces pęcznienia w stosownych warunkach. W tym celu przyrządza się kąpiel kwaśną, zapomocą tzw. fermentacji mlekocno-kwaśnej. Otręby pszenne zalewa się wodą, dodaje zaczynu z ciasta kwaśnego i pozostawia w temperaturze 50° do fermentacji. W cieczy tej skóry pęcznieją i stają się niemal podwójnie grube. Pęcznienia otwiera w skórze odwołosionych drzew, przedewszystkiem zaś kora łatwiejszego i dokładniejszego pochłaniania garbników w dalszym procesie garbowania.

Jak już wspomnieliśmy na wstępie, do właściwego przeistoczenia skóry, na skórę użyteczną służą garbniki. Materiałem podstawowym w tym zabiegu są kory różnych drzew, przedewszystkiem zaś kora dębowa, która pod względem zawartości garbników przewyższa wszystkie inne. U dębu największe ilości kory występują pomiędzy 15 a 30 rokiem życia drzewa, to też w tym okresie zwykle kora bywa obłupywana. W wielu krajach, jak np. w południowych Niemczech i w południowej Francji, prowadzi się w tym celu racjonalne drzewostany dębowe. Prócz kory dębowej, używa się także kory sosnowej i jodłowej, a w pewnych okolicach nawet kory orzecha włoskiego, najczęściej jednak w mieszaninie z korą dębową.

Właściwy proces garbowania odbywa się w ten sposób, iż skóry napęczniałe układa się w dole i przesypuje warstwą mialkiej kory, a gdy się doł zapelni, zalewa wodą. Garbniki stopniowo rozpuszczają się w wodzie i zwolna pochłaniane są przez skóry. Skóry grube, jak np. podeszwy, wymagają do zupełnego prze-

garbowania bardzo dużo garbnika; dlatego też przesypuje się je wielokrotnie świeżą korą i prowadzi garbowanie przez okres około dwóch lat. Tak wygarbowane skóry są bardzo dobre, jednakże trzeba na nie długo czekać. Starano się więc ten proces skrócić, co osiągnięto przez zastosowanie wyciągów wodnych kory. Najpierw wyciąga się garbniki z kory wodą i dopiero w tych roztworach garbuje skóry. Dzięki temu skrócono proces garbowania do trzech miesięcy.

Sposób powyższy stał się podstawą do zastosowania wyciągów garbarskich zgęszczonych. Oddawna już przywożone z Indji Wschodniej wyciągi przyrządzane zapomocą wygotowywania w wodzie drzewa albo liści roślin obfitujących w garbniki. Od roku 1882 wyciągi takie fabrykuje się także w Europie z drzewa dębowego i kasztanowego.

Rzecz oczywista, iż wyrób rzemienia zapomocą takich wyciągów jest o wiele dogodniejszy, niż dawne metody, a przeto ogromnie przyspiesza cały proces. Opatentowano nawet sposób, umożliwia-

jący garbowanie najgrubszej skóry podeszwy w ciągu 36 godzin!

Proces garbowania został przyspieszony dzięki utrzymywaniu skór garbowanych w ustawicznym ruchu. Od roku 1912 przemysł chemiczny dostarczył też garbników sztucznych wytwarzanych z wytworów suchej destylacji węgla, względnie mazi pogazowej.

Obok przerabiania skóry garbnikami istnieją jeszcze dwa rodzaje garbarstwa, mianowicie białoskórnictwo, czyli wyprawianie skóry zapomocą alunu, oraz zamszownictwo.

Białoskórnictwo dostarcza tzw. irchy, czyli skóry najdelikatniejszej i najelastyczniejszej ze wszystkich gatunków. Skóra wygarbowana alunem nie jest jednakże tak trwała, jak wyprawiona garbnikiem, to też bywa stosowana tylko do celów, które zbyt wielkiej trwałości nie wymagają. Zauważyć tutaj należy, że zapomocą alunu garbuje się także i futra.

W zamszownictwie napaja się skórę tłuszczami, przedewszystkiem tranami, które wewnątrz skóry ulegają utlenieniu i przechodzą w substancje nierozpuszczalne, pozostające w tkance skórnej. — Na podobieństwo zamszu wyprawia się także i futra.

Garbownictwo alunowe należy do tzw. garbownictwa mineralnego, do którego zaliczamy także garbowanie tlenkiem żelaza i tlenkiem chromu, przyczem głównie ma zastosowanie ten ostatni. Skóra chromowa jest miękka i wiotka, jak inne gatunki, przewyższa je jednak odpornością na wilgoć i wysoką temperaturę. Nietylko skóry twarde, podeszwy, lecz także i miękkie skóry na przyszwę dają się doskonale garbować chromem, a wiele fabryk zupełnie zarzucało garbowanie takich skór garbnikami i przeszło na sposób chromowy.

—0—

Nowe życie kwitnie na ruinach Pamiętna noc 28 grudnia 1908 w Messynie

W godzinach południowych dnia 28 grudnia 1908 obiegła cały świat wiadomość o silnym trzęsieniu ziemi, którego centrum znajdowało się w Kalabrii. Seismografy zanotowały wstrząsy podziemne, z których pierwszy nastąpił o godzinie 5.20 rano i trwał 32 sekundy.

Telegramy mówiły o tysiącu ofiar. I ta cyfra wydawała się początkowo przesadna. Ale dalsze sprawozdania pozwoliły dopiero zorientować się w ogromie i całej grozie spustoszenia: Messina, Reggio di Calabria i Scilla leżały w gruzach; przeszło sto tysięcy ludzi zginęło albo w płomieniach, albo w odmetach morskich, albo pod gruzami zawalonych domów! Była to jedna z największych katastrof, jakie kiedykolwiek nawiedziły południowe Włochy i Sycylię.

Ciemno jeszcze było, gdy gwałtowny wstrząs podziemny obudził przerażoną ludność blisko 200-tysięcznego miasta. Przenikliwe zimno i silna ulewa powiększały jeszcze grozę sytuacji. W nieopisanej panice uciekają mieszkańcy w stronę korsa Wiktora Emanuela, ciągnącego się wzdłuż brzegu morskiego. Ale od morza wała potężne fale, trzymetrowej wysokości, odcinając drogę i zatapiając wszystko po drodze. Na domiar złego eksploduje olbrzymi gazometr, — miasto staje w łunie pożarów, których blask oświeśla istic dantejskie sceny. Następują dalsze wstrząsy podziemne, natury tektonicznej. I w ciągu paru minut dwie trzecie miasta leżało w gruzach.

Ofiarą tego trzęsienia ziemi padło w

Messynie nie mniej jak 83 tysiące ludzi!

Założona około roku 730 przed Chr. przechodziła Messyna zmienne koleje losu, pod rządami Ateńczyków, Kartaginy, Rzymian i Saracenów. Największy jej rozkwit przypada na koniec XV wieku; stopniowo jednak jej znaczenie upada, zwłaszcza, że wielokrotnie spadają na miasto straszne klęski i nieszczęścia: w roku 1740 ginie od zarazy przeszło 40 tysięcy ludzi, w roku 1783 trzęsienie ziemi niszczy prawie całe miasto. W wieku dziewiętnastym przechodzi Messyna bombardowanie (3—7 września 1848), epidemję cholery (1854) i trzęsienie ziemi (17 listopada 1894). Aż wreszcie ostatecznie trzęsienie ziemi — przed dwudziestupięćmi laty, obraca całe niemal miasto w perzynę.

Dzisiaj Messyna, odbudowana, jest znowu wielkim, kwitnącym miastem, o blisko dwustutysięcznej ludności. Odbudowana została słynna, prześlizgająca „palazzata”, ciągnąca się na kilometry wzdłuż nadbrzeża. Owa palazzata, której fasada jakimś dziwnym przypadkiem utrzymała się, nienaruszona i lekko zaledwie zarysowana, podczas pamiętnej nocy 28 grudnia 1908, robiąc niesamowite wrażenie długim rzędem swych kolumn i okien, poza którymi przeświecał błękit pustego nieba. Odbudowano wspólną katedrę „la Matrice”, przepiękny zabytek budownictwa z czasów Normanów. Stał cały szereg nowych budynków i gmachów rządowych, przeobrażenie jednopiętrowych, konstruowanych w ten sposób, by zdołały się o-

przeć zwycięsko ewentualnym wstrząsom podziemnym.

Życie zakwitło na ruinach... A wśród dzisiejszych mieszkańców Messyny nie łatwo znaleźć kogoś, któryby pamiętał Messynę z przed 25 lat i mógł opowiedzieć swe przeżycia z owej strasznej nocy. Kto bowiem zdołał wówczas uciec z życiem, — ten już za żadną cenę nie dał się nakłonić do powrotu...

Trzeba zapuścić się w dzielnice dalsze, na południe od odbudowanego już zupełnie śródmieścia, aby przypomnieć sobie i unaocznic ogrom spustoszenia. Jakgdybyśmy się znaleźli nagle w jakimś miasteczku kalifornijskim lub odludnej Alaski: długie szeregi prymitywnych baraków, pokrytych papą lub blachą... parterowe, drewniane domki, zamieszkałe przez najuboższą ludność. Baraki te, wystawione prowizorycznie po strasznej katastrofie, przetrwały do dzisiaj. I te baraki i ów olbrzymi, masowy cmentarz, kryjący dziesiątki tysięcy ofiar, przypominają turyście ów pamiętny dzień 28 grudnia 1908.

Cmentarz, skapany w złocie, południowym słońcu, ocieniony drzewami oliwnymi i pomarańczowymi. Na zboczach kwitną purpurowe róże... nowe życie zakwitło na ruinach...

Zmarły przed rokiem profesor literatury angielskiej George Saintsbury słynął z nieczytelnego pisma. Jeden z jego listów, pisanych do zawodowego kolegi A. R. Wallera, nabył niedawno Muzeum brytyjskie. Ponieważ jednak autograf ten wyglądał na pismo chińskie czy hebrajskie, między wierszami umieszczono kaligraficznie odtworzony tekst, który usunie wszelkie wątpliwości co do języka i alfabetu.

Nauka wojenna w szkolnej geografii niemieckiej

Aż do końca roku 1932 była to agitacja polityczna w sensie rewizyjnym, uprawiana przez znaczny odłam przedstawicieli geografii niemieckiej.

GEOPOLITYKA

Osobnemi drogami szła grupa „geopolityków” niemieckich pod wodzą emeryta generała Karola Haushofera, profesora uniwersytetu monachijskiego. Geopolityka niemiecka, nawet przez jej adherentów określana jako „nowa nauka” została stworzona dla wyraźnych celów politycznych w Niemczech powojennych. Stronicy jej pozostawali po części w wyraźnym kontraście do oficjalnej niemieckiej nauki geograficznej, reprezentowanej przez Alfreda Hettnera. Formy polemiki z Hettnerem, który sprzecyzował tę „nową naukę” wyraźnie jako politykę, odmawiając jej cech naukowych, były bardzo ostre.

ZWROT KU GEOGRAFII WOJENNEJ

Przewrót państwowy, który się dokonał w Niemczech na korzyść narodowych socjalistów, wpłynął w swoisty sposób tak na naukę geografii w Niemczech, jak i na geopolitykę, która wogóle dość wyraźnie, także za czasów poprzedniego regime'u, uprawiała agitację wojenną. Wystarczy tu wskazać na szkolny podręcznik geopolityki, napisany w roku 1929 przez Hansa Simmera, pt. „Grundzüge der Geopolitik”, który w każdym rozdziale mówi o konieczności wojny z „nieprzyjaciółmi Niemiec”, do których zalicza przede wszystkim Polskę i Francję, poucza młodzież niemiecką, że zwycięży w niej ten, kto ma silniejszy pęd do życia i że wojna przewencyjna jest uzasadniona celem rozszerzenia obszaru i to kosztem tego, który ma słabszy „pęd do życia”, i wreszcie, że Niemcy są wprost zmuszeni do „erupcji” („Uns wird die Eruption aufgezungen”).

Te wybryki geopolityki przyjmował stary rząd z zadowoleniem, co stwierdza fakt, że podręcznik Simmera został uznany za oficjalny podręcznik szkolny, a sama nauka „geopolityczna” została wprowadzona do planów nauki, nakazanych przez ministerstwo oświaty. Sam fakt propagandy wojennej był jednak wstydliwie przemilczany. Z objęciem władzy przez partię narodowo socjalistyczną zmieniło się oblicze sprawy. Pierwszym akordem pobudki wojennej jest książka Karola Haushofera pt. „Wehr — Geopolitik” w której spisuje rzeczy widniejące następujące rozdziały: Geopolityczne podstawy dzisiejszych spraw wojennych. Nauka o wojnie i wojenno — geograficzne pojęcia z fizycznej geografii. Biogeograficzna nauka o wojnie. Antropogeograficzna dynamika. Techniczna wojenna antropogeografia krajiny, zmienionej przez naszą kulturę (?). Wojenno — geograficzna swoboda ruchów.

GEOGRAFIA WOJENNA W SZKOLE

Sposób zastosowania tych szczególniejszych badań w nauce szkolnej objaśnia nam artykuł prywatnego docenta dr. Fryderyka Papenhusena z Drezna w zeszycie 30 i 31 „Geographische Wochenschrift” nowo kreowanym czasopiśmie „naukowym”. Artykuł ten nosi tytuł: „Wehrwissenschaft und Wehrgeographie”, i już bez obłonek uzasadnia zaprowadzenie nauki wojennej i geografii wojennej w szkołę. Przygotowanie do wojny bowiem nie może się ograniczyć tylko do militarnego przygotowania uzupełnionego skromnie w Niemczech, jak autor mówi, przez sport wojenny („Wehrsport”).

Najważniejsze jest duchowe przygotowanie do wojny, wychowanie w duchu wojowniczym i wzmocnienie pędu wojennego („Wehrwille”), aby młodzież przekonała o konieczności wojny i dać jej siłę duchową do przetrzymania trudów

wojennych aż do „szczęśliwego końca”. Autor szczegółowo się rozwodzi nad zadaniem geografii wojennej; w pierwszej części swoich wywodów mówi o klimatologii wojennej (kierunek wiatrów, mgły) w zastosowaniu do wojny powietrznej i gazowej, przyczem zaznacza, że na wschodzie Niemiec są korzystniejsze warunki dla prowadzenia wojny niż na zachodzie.

W drugiej części autor zajmuje się obronnością mórz Północnego i Bałtyckiego, twierdząc przytem, że Niemcy muszą posiadać taką flotę, by się jej bała zarówno Anglja, jak i Francja. Na Bałtyku flota potrzebna jest do tego, by przeszkodzić zaopatrywaniu Polski z zewnątrz w materiały wojenne, nadto by być łącznikiem z Prusami Wschodnimi. Ponieważ najważniejsze dla prowadzenia wojny środowiska Niemiec, Westfalja i Śląsk leżą niedaleko granic, istnieje zdaniem autora konieczność posiadania przez Niemcy wielkiej, uzbrojonej w najnowocześniejsze środki armji.

ODRZUCENIE HUMANISTYCZNEGO IDEALU WYCHOWAWCZEGO

W tym samym numerze pisma „Geo-

graphischet Wochenschrift” zamieszczono wezwanie dr. Waltera Gehla do wszystkich nauczycieli geografii, historii, przyrody i germanistyki, aby wyrzucić ze szkoły niemieckiej liberalny ideał wychowawczy ogólnego wykształcenia humanistycznego, natomiast zwrócić się do „nowej nauki”, geopolityki, która musi złączyć organicznie geografję, historję, naukę obywatelską, germanistykę i biologję; przedmioty te odtąd nie będą pośredniczyły w zaznajomieniu ucznia z pewną sumą specjalnych wiadomości, tylko będą go uczyły zrozumienia własnego państwa na własnym obszarze ludowym. (Do Niemieckiego obszaru ludowego (Volksraum) należą te wszystkie ziemie, na których mieszkają Niemcy).

DALSZE WOJENNE PODRĘCZNIKI SZKOLNE

Wśród geografów, którzy ofiarowali swe pióro wojennej propagandzie narodziła się — socjalistycznej, należy jeszcze wymienić Ewalda Bansego, żywo zwalczanego niedawno przez poważnych geografów niemieckich z powodu jego „este-

tycznej” geografii opisowej. Autor ten, który się pozatem wstawiał książkami geograficznymi tego rodzaju jak: „Wüsten, Palmen und Bazaré”, „Morgenland und Abendland”, „Die Waga des Herzens” i wydał nudystyczny zbiór fotografii pod tytułem: „Frauen des Orients”, wstawiał się teraz dwoma podręcznikami szkolnymi, ilustrującymi psychozę wojenną obecnych Niemiec, mianowicie jednym pt. „Wehrwissenschaft”, dla uczniów, zawierającym naukę o organizacji wojska, o sposobach prowadzenia wojny i niszczenia ludności cywilnej na tyłach wojsk w kraju nieprzyjacielskim za pomocą gazów trujących, bakterji etc. — i drugą pt. „Raum und Volk im Weltkrieg”, zawierającą popularny wykład strategii wojennej, do stosowanej do poziomu uczniów. Obydwie książki zostały zrazu oficjalnie uznane jako podręczniki w szkołach niemieckich, gdy jednak później treść pierwszej z nich wywołała zbyt wiele wrzawy zagranicą, rząd niemiecki zdecydował się ją skonić.

Dr. Kazimiera Jeżowa, Toruń

Głodówka u zwierząt

Staranna obserwacja zwierząt, która umożliwia ogrody zoologiczne, zaznacza nam z ciekawymi właściwościami ich organizmów. Człowiek może wytrzymać bez jedzenia i wody około dwóch tygodni. Tymczasem są stworzenia, zdolne do głodowania całemi latami.

Rekord należy pozornie do pewnego gatunku konika polnego, który obchodzi się bez pożywienia okragłych lat siedem. Jest jednak w tym czasie poczwarka, a więc przeżywa okres bezwładu.

Inaczej ma się rzecz z gadami. Te umieją naprawdę pościć, gdy zabraknie im jedzenia. Poszczą również demonstracyjnie, o ile pozbawi się je wolności. Do śmierci głodowej doprowadził boa w pa-

ryskim Jardin des Plantes — ale przetrzymał cztery lata i jeden dzień. Mniej tragicznie skończył się strajk głodowy pytona, którego przed kilku laty ofiarował londyńskiemu ogrodu zoologicznemu książę Walji. Wąż ten nie jadł przez 18 miesięcy, ale potem pogodził się z losem. Żyje dotychczas, ma 9 metrów długości (jest więc największym okazem swego gatunku w niewoli) i cieszy się doskonałym zdrowiem.

Bardzo długo wytrzymuje bez pożywienia żółw, który rzadko je przyjmuje, o ile niema możliwości przechadzki. Trwa to nieraz przez długie miesiące. Rzecz ciekawa, że ubytek na wadze jest w tym wypadku minimalny.

U ssaków bowiem dłuższy głód powo-

duje zwykle zjedanie się wewnątrz: tj. absorbcją nagromadzonego tłuszczu. Tłuszcz ten magazynuje człowiek pod skórą, między mięśniami, w wątrobie i naokoło różnych błon brzusznych. Ale zwierzęta mają często specjalne schowki na tę „porcję rezerwową”. U wielbłąda jest nim garb, u jaszczurki, żyjącej w Arizonie ogon, który nie różni się kolorem od reszty ciała, a rozrósłszy się, wygląda poprostu na koniec tułowia. Mysz pustynna, żyjąca w Afryce magazynuje również tłuszcz w ogonie. Wygląda on imponująco w dobrych czasach. Gdy przyjdzie głód upodabnia się do balonika, z którego gaz wypuszcza.

Mięczaki popadają w odrętwienia na całe lata. Pewien ślimak afrykański przeżył dwa lata, przylepiwszy się do tabliczki w muzeum, zbudziwszy się, popęzł ostrożnie na ziemię i zaczął badać otoczenie. Murzyni afrykańscy wiedzą dobrze o tej właściwości ślimaków i wybierając się na dalekie wyprawy, zabierają je całemi workami. Wiedzą, że żyjotka zapadną w sen, więc nawet po kilku miesiącach będą świeże i jadalne.

Stwierdzono, że w rzekach syberyjskich które zamarzają, ryby bywały nieraz po kilka miesięcy uwięzione w lodzie. Ich organa trawienia przestają w takim wypadku funkcjonować. Znany fizyk Pictet zebrał w dużym naczyniu różne gatunki ryb rzecznych i stopniowo oziębiał w nim wodę, póki zupełnie nie zamarzła. Lód poddał działaniu ciepła dopiero po dwóch miesiącach. Ani jedna z ryb nie zdechła, ani jedna nie była chora.

Na podstawie tego doświadczenia w Ameryce transportują dziś często żywe ryby w lodzie lub trzymają je w nim, nieraz po kilka miesięcy. Bryły lodu muszą być zabezpieczone jakimś złym przewodnikiem ciepła.

Wspomnieć wreszcie trzeba o śnie zimowym niektórych zwierząt czworonogich (wspomniany wyżej sen mięczaków jest snem letnim). Przekonano się w ostatnich czasach, że stan ten można wywołać sztucznie. Naprzd obniża się temperaturę krwi zwierzęcia przy pomocy zimnej kąpieli, potem daje mu się iniekcję insuliny, a zmniejszona ilość cukru we krwi wywołuje zaśnięcie na czas dłuższy.

Może jeszcze dojdziemy do tego, że uda się ten eksperyment wykonywać na ludziach. W czasach redukcji plac byłoby to nieocenione.

A. E.

Najpłodniejszy pisarz świata

Nie mamy tu na myśli E. Wallace'a, który napróżno silił się pobić rekord, ustanowiony w swoim czasie przez autora „Trzech muszkietierów” i „Hrabiego Monte-Christo”.

Tak jest, rekordzistą tym, dotąd niepokonanym, był Aleksander Dumas (starszy), którego produkcja literacka wyraża się zawrotną cyfrą około sześciuset tomów... (Nawiasem wspomnieć się godzi, że wśród tych dzieł znajduje się dwutomowa książka kucharska, w swoim czasie bardzo popularna. Bo Dumas lubił się bawić i dobrze jeść.)

Karjerę swą rozpoczął Dumas od dramatów historycznych. Jako 27-letni młodzieniec wystawił pierwszy swój dramat „Henryk III i jego dwór”, przyjęty entuzjastycznie przez publiczność. Kolejno szły dalsze dramaty, — aż do chwili, gdy wielki dziennik paryski „La Presse” pierwszy wprowadził drukowanie sensacyjnych powieści w codziennym feljetonie.

System ten w krótkim czasie przyjął się ogólnie, — a dla Dumasa otworzyły się nowe, nieznane dotąd horyzonty. Począł fabrykować masowo swoje powieści, drukując je w kilku naraz dziennikach, a następnie wydając osobno jako książki.

Nie mogąc podołać zapotrzebowaniu, dobrał sobie do pomocy cały szereg młodych, nieznanych pisarzy. Ci „biali murzyni”, jak ich wówczas nazywano w Paryżu, dawali mu własne pomysły, dawali surowy materiał, który następnie Dumas odpowiednio opracowywał i wypuszczał w świat jako dzieła swoje własne. W swoim czasie toczyła się we

Francji gorąca dyskusja literacka na temat „Trzech muszkietierów”. Odkryto oryginalne manuskrypty niejakiego Augusta Maqueta, jednego z tych „białych murzynów” Dumasa, pisarza obdarzonego dużym połotem i fantazją. Na podstawie tych manuskryptów historycy literatury — ci francuscy „odbronzowiacze” — wysunęli twierdzenie, że autorem „Trzech muszkietierów” był Maquet, którego Dumas okradł najbezcenniejszy z jego pomysłów.

Po skrupulatnem jednak porównaniu obu tekstów pokazało się, że zarzut ten był niesłuszny i krzywdzący dla Dumasa. Uczeń historycy doszli ostatecznie do wniosku, że wprowadził Dumas w powieści swej wykorzystał dużo z pomysłów Maqueta, — że jednak stworzył rzecz zupełnie oryginalną, noszącą wszystkie cechy jego wielkiego, własnego talentu.

Znakomita znajomość kolorytu lokalnego i historycznego, akcja żywa, rwąca jak wartki potok, niezwykły dar narracyjny i bogactwo języka, wreszcie zdolność zainteresowania czytelnika, — to są zalety pióra Dumasa, które zadecydowały o wartości i powodzeniu jego dzieł, — a wobec których sam fakt zużytkowania cudzego, zupełnie surowego i nieopracowanego należycie pomysłu nie ma i nie może mieć większego znaczenia.

I mimo druzgocącego sądu, jaki wydał o Dumase jego kolega po piórze, Flaubert, — dzieła Dumasa pozostały do dziś dnia ulubioną lekturą, zwłaszcza młodzieży, a „Trzej muszkietierzy” i „Hrabia Monte-Christo” świecą świeżymi tryumfami na srebrnym ekranie.

Problem murzyński w U. S. A.

Przebrzmiały już dawno ostatnie echa „Chaty wuja Toma“... Dzisiaj murzyni, wolni obywatele Stanów Zjednoczonych, korzystają w zasadzie z pełni praw obywatelskich. Ale tylko „w zasadzie“, — w praktyce bowiem traktowani są nadal jako obywatele drugiej klasy, odgradzeni od reszty społeczeństwa niewidzialną cypurką, ale nieprzebytą zaporą.

A jednak problem murzyński staje się w Stanach Zjednoczonych coraz bardziej aktualnym i piekącym. Jednak niedalekim już wydaje się dzień, w którym czarna rasa potrafi energicznie i skutecznie upomnieć się o swoje prawa. Kiedy — mówiąc o murzynach amerykańskich, nie będziemy jak dotąd, drogą asocjacji myślowej, łączyć z nimi pojęcia... jazzu i linczu...

Patrząc na takiego czarnego gentlemana wystrojonego z krzykliwą elegancją, w lśniących lakierkach, słomkowym kapeluszu, z jaskrawą krawatką, zadowolonego z całego świata i ze siebie, — wyobrażamy sobie łatwo, że całe to ich społeczeństwo nie dojrzało jeszcze umysłowo, nie jest zdolne do poważnej, produktywnej pracy. Ale są to tylko pozory. Prawda, że olbrzymia większość murzynów zajmuje najpodrzedniejsze stanowiska w hierarchii społecznej, jako kelnerzy, boye, wyrobnicy czy robotnicy fabryczni. Ani nie mają czasu na zdobywanie jakiegokolwiek, choćby średniego wykształcenia, ani nie kwapią się nawet zbyt do tego, — wiedząc, że i tak nie osiągną z tego w swym zawodzie żadnych korzyści.

Ale stopniowo wzrasta całe pokolenie młodych ludzi, rwących się do nauki. Wobec trudności, na jakie natrafiali w kolegiach i uniwersytetach amerykańskich, tworzą specjalne uniwersytety, na które wstęp mają wyłącznie tylko kolorowi słuchacze. Najślynniejszym z nich jest uniwersytet w Tuskegee, w stanie Alabama, liczący około dwa tysiące słuchaczy. Nauka trwa tam cztery lata.

Z uniwersytetów tych wychodzi elita intelektualna, która z całym zapalem pracuje nad podniesieniem poziomu umysłowego swych braci. Powstają liczne nowe szkoły, do których uczęszczają nie tylko dzieci, ale i ludzie starzy zupełnie, mierzając się nad zdobyciem sztuki czytania i pisanja.

Powstają dzienniki redagowane przez murzynów, tygodniki i miesięczniki ilustrowane, a ich nakłady wzrastają z każdym rokiem bardzo wydatnie. Tworzy się zwolna odrębna sztuka murzyńska, której rosnący wpływ daje się odczuwać zarówno w muzyce, jak w poezji, literaturze i teatrze. Sztuka napisana przez murzyna, a grana wyłącznie również przez murzynów „Zielone prerie“, doczekała się w Nowym Jorku ośmiuset przedstawień i zdobyła olbrzymi sukces podczas tournée objazdowego po wszystkich stanach.

Mimo wszystko jednak czarni gentelmani, — to świat zamknięty w sobie, odnoszący się do białych z nieukrywającą nieufnością i niechęcią. Bo jest to świat wielkich dzieci, o oryginalnej, a zupełnie odrębnej mentalności. Dzieci, usiłujących naśladować białych, a czyniących to w sposób niezadany, nierzadko komiczny i przesadny. Mają oni swój własny pogląd na świat i życie, — pogląd różniący się diametralnie od naszego. Pojęcia takie jak uczciwość, pra-

ca, szczęście czy zmartwienie, mają dla nich zupełnie inne znaczenie. Ukraść coś, kiedy się trafia dobra okazja, — to przecież nie złoźnego! Praca, — to przykra konieczność, kiedy pilnuje dozorca, a próżnowanie, gdy nikt nie widzi. Zmartwienie, — kiedy się jest głodnym; szczęście, — to możność wystrojenia się, tańca i śpiewu. Zwłaszcza śpiew: murzyn amerykański jest urodzonym śpiewakiem. Cokolwiek się stanie, czyto katastrofa kolejowa, czy kłeska ulubionego boksera, czy rozruchy bezrobotnych, czy zawód miłosny, czy wesola zabawa na festynie, — wszystko to staje się natychmiast tematem do naiwnych piosenek, nierzadko improwizowanych, przy akompaniamencie banjo. Piosenki te zdobywają szybko olbrzymią popularność.

Wszystko to, co im narzuca kultura i cywilizacja, murzyni potrafili dostosować do swego użytku. Wystarczy obserwować np. pogrzeb murzyna, by

ocenić i uprzytomnić sobie całą przepaść dzielącą ich od białych: dla murzynów pogrzeb jest wypadkiem wręcz sensacyjnym, wyjątkowej wagi. Bez wahania wysprzeda wszystko lub zadłużyć się po uszy, byleby mógł sprawić pogrzeb jaknajokazalszy, zaimponować wszystkim. Na uroczystości pogrzebowe, trwające nieraz trzy dni, zjeżdżają się krewni i znajomi, wystrojeni w najbardziej krzykliwe stroje. Ze specjalną predylekcją wybierają na ceremonię pogrzebową dzień niedzielny, jako wolny od pracy, bo wówczas można liczyć na tłumniejszy udział w pogrzebie, można pochwalić się przed setkami współbraci wspaniałą trumną, muzyką, kwiatami... Toteż duchowieństwo zmuszone było formalnie zakazać urządzania pogrzebów w dniu świątecznym, by położyć kres tym wybrykom.

Te same cechy posiada i ich kultura religijna. Murzyni amerykańscy są głęboko wierzący. Ale jak wszystkie narody

prymitywne, lękają się przede wszystkim djabłów, złych duchów i piekła. Toteż anglikańscy misjonarze liczą się z tem w swoich kazaniach. Olbrzymia popularność wśród czarnych słuchaczy zdobył sobie pewien misjonarz, który podczas swych kazań na ambonie improwizowanej staczał formalny mecz bokserki... z wyimaginowanym djabłem! A czarni pastory w swych kazaniach stale wymyślają djabłom od „bandytów, złodziei“, malując w jaskrawych słowach wszystkie okropności piekła, czekające zatwardziałych grzeszników.

„Stuprocentowy Amerykanin“ patrzy z pogardliwym pobłażaniem na te wielkie czarne dzieci, przechodzące głęboką ewolucję. Dzieci niedawnych niewolników, stojące dopiero na progu rozwoju umysłowego. Ileż mają jeszcze do odrobienia, jakich wysiłków potrzeba, by nadać kroku swym białym współobywatelom! Ale rasa murzyńska już się obudziła do życia i coraz śmielej dopomina się o swoje prawa.

(R.)

Hitlerowskie bajeczki dla dzieci

Miedzy gwiazdkowymi wydawnictwami niemieckimi zwraca uwagę książka Morgenrotha i Schmidta, zatytułowana „Dzieci, czy znacie swego wodza?“ Jest to ujęty w formę bajki żywot Hitlera, rzucony na tło dziejów niemieckich w ostatnich czasach, dziejów opowiedzianych naturalnie tak, jak je kształtuje kurs urzędowy, reprezentowany przez podręczniki szkolne i rozporządzenia ministra Fricka.

Zaczyna się ta książeczka od ogólnych wywodów na temat wielkich ludzi, żyjących pośród tłumy zwyczajnych jednostek. Obok Hitlera figuruje tu hr. Zeppelin. Potem następuje obraz przedwojennych Niemiec. Niemieckie dziecko dowiaduje się o ich wielkości za czasów, kiedy tatuś był młodym człowiekiem, a mamusia chodziła do szkoły. Lecz sąsiedzi zazdrościli Niemcom ich wynalazków, fabryk i floty. Pienili się ze złości Francuzi i Moskale, a Anglicy zgrzytali zębami i mówili: „My przecie musimy mieć najlepsze okręty!“

Zli sąsiedzi zapragnęli „zabić Niemcy“. Zapytacie się dzieci, jak można zabić kraj? Ach, to rzecz okropna. — Spróbowali to zrobić zapomocą wojny“. Otoczyli Niemcy wojskami i działami (o Belgii i pochodzie na Paryż, o okupacji Królestwa, o Oberost ani słowa). Lecz Niemcy miały dzielnych wojowników, którzy zwykli rzucili się ku zagrożonym granicom i nie wpuścili nieprzyjaciela. Walczyli dziel-

nie pod wodzą Hindenburga. Przyszli Włosi i Amerykanie. Gdy i ci nie mogli wskórać, sprowadzono zza morza murzynów i ludzi o brunatnej cerze. Przez cztery lata trwała ta okropna wojna. Lecz Hindenburg i jego wojska wygrywali bitwy i osłaniali kraj przed nieprzyjacielem.

Wreszcie jednak w sprawę wdał się „zły duch“, który ludziom zaczął szeptać do uszu: „Zaprzestańcie strzelania. Nigdy nie pobijecie wroga. Wtedy będzie pokój“. Wielu usłuchało tego złego ducha, który mówił również, iż Niemcy są winni wywołania wojny. — „Naturalnie było to kłamstwo“. Zakradał się on do fabryk amunicji i kuśił: „Przestańcie robić kule i bomby. Wtedy nasi żołnierze nie będą mogli strzelać i będzie pokój“. A biedne Niemcy cierpiały, „jak wszystkie dobre duchy w bajkach, moje dzieciętki“.

Skończyła się tedy wojna. „Ale zły to był koniec“. Wrogowie powiedzieli: „Niemcy, wojna była waszą winą. Musicie oddać część kraju. Musicie zapłacić za nasze straty w wojnie. Musicie dać nam pieniędzy na odbudowanie naszych domów i fabryk“.

A Niemcy, raz uległszy złemu duchowi i zawarłszy zawieszenie broni, były bezsilne. Wielu żołnierzy pragnęło walczyć dalej, lecz wróg zabrał broń i nie było zbiorowej woli...

Ody zaś wielu ludzi wzniesło głosy i skarżyło się na własną niezdolność do czynu, pewien żołnierz powiedział sobie: „Nie, tak być nie może“.

Począł modlić się do Boga o litość nad Niemcami. A wówczas Bóg mu rzekł: „Ty wyświasz Niemcy, a Ja ci pomogę“. I powstał żołnierz, wyciągnął ręce w górę, ku niebu i zawołał: „Wyzwolę Niemcy od ich nieprzyjaciół. Wiem, że Bóg mnie wspiera“.

Był to Adolf Hitler. „Wtedy był samotny. Lecz dziś zna go świat cały. Jego Niemcy kochają go. Jego nieprzyjacieli boją się go. Cały świat wie, że nad nim jest opieka Boga, z którego pomocą zbawi Niemcy“.

Teraz następuje zarys życia Hitlera mniej więcej tak, jak przedstawia się w jego książce „Mein Kampf“.

Młody Adolf rozmyślał od dzieciństwa nad dziejami swego narodu. — Z dumą wspominał wojnę r. 1870. „Napewno słyszałyście, dzieciętki, o tej wojnie od swego dziadunia. Prawdopodobnie brał on w niej udział. Uczestniczył w niej, mniej więcej sześćdziesiąt lat temu, kiedy to Niemcy w męznym, zwycięskim zapędzie, odepchnęli wstecz Francuzów i weszli do Paryża. Wielkie czyny spełnili wówczas Niemcy“.

Od rozmyślań przechodzimy do czynów Hitlera pod koniec wojny: „Anglia rzucała niebezpieczne bomby, pełne trującego gazu“ (autorzy wcale nie objaśniają od kogo Anglicy nauczyli się używania gazów). Hitler doznał zatrucia. Zawieszenie broni zastało go w szpitalu.

Przyszedłszy do zdrowia, wrócił do miasta, które kochał, jako swój dom własny, do Monachjum. W owym czasie „wycieńczony lud niemiecki zatracił poczucie złego i dobrego. Walczył pomiędzy sobą, nienawidził się wzajemnie, ponieważ był nieszcześliwy. Śpiewał okropne pieśni (Międzynarodówkę!) a pogardał dawnymi pieśniami (Wacht am Rhein i Deutschland über alles). Radował się tylko tem, co okropne i ohydne. Tak opowiadają autorzy dzieciom o rewolucji komunistycznej w Monachjum.

Lecz Hitler zaczął wygłaszać płomienne mowy: „Przebudźcie się! Otwórzcie oczy! Czy nie widzicie, że zły duch wodzi was za nos. Czyście zapomnieli, że być Niemcem znaczy być wojownikiem? Stałicie się tchórzami! Pozwoliście sobie zabrać wszystko piękne i cenne, co posiadali-

KSENIA ŻYTOMIRSKA

Baby*)

Włetrzyk leci wesolo
nad borem...
Rozgadaly się baby
wieczorem:
rozgadaly — płołkowaly —
powiadały — obraćaly
jezorem.
Te koszule ich bielsze
od maki,
a spódnice szumiące
jak baki:
bafaste — pastaste —
kropiaste — kraciaste
jak laki.

*) Z wydanego świeżo zbioru „Włetrzyk“, Warszawa, Dom Książki Polskiej.

Zebracy

Obsiedli kościoła stopnie,
przy wejściu trzymają warte.
Na słońcu zdają się topnieć
ich suche dłonie otwarte.

Ich nie tknie marzeń zatrucie,
ni myśli wysiłek próżny:
powstał z ludzkich okrucieństw
i żyją z ludzką jatmużną.

Bez przerwy brzęczą jak osy
swe kłamstwa, z nędzy wysnute.
wrzaskliwe, ochryple głosy,
ciągnące wysoką nutę.

Łachmany, wasy sumiaste
i dziaśla — bezżebne, puste
od miasta ciągną do miasta,
na odpust idą z odpustu...

ojczyzna. Wierzycie w każde kłamstwo i nie widzicie, że was oszukują i zdradzają. Zbudźcie się! Wyrwijcie się z bezwładu, stańcie się napowrót Niemcami!"

„Tak to kazał i przemawiał Adolf Hitler. Szedł z miasta do miasta, z prowincji do prowincji, wstrząsając ludźmi do głębi i mówiąc im prawdę. Okazywał im, jak cudownym byłoby życie, gdyby wszyscy Niemcy się połączyli. A ludzie słuchali go radośnie i mówili: On ma słuszość."

Lecz zanim nowy świt zajaśniał, trzeba było stoczyć bój ze złym duchem (komunistami i socjalistami). Ludzie, uwiedzeni przez niego, próbowali przekrzyczeć Hitlera. Wrzeszczeli, gwałtili, ryczeli, aby zagłuszyć jego „wielkie, mocne słowa".

Lecz Hitler skupił wkoło siebie przyjaciół. Naprzód było ich dziesięciu, potem pięćdziesięciu, potem tysiąc i więcej. Wódz dał im swastykę, aby mogli poznawać się wzajemnie i kazał im przy spotkaniu wznosić rękę i wołać „Heil", „aby było widać, że walczą za szczęście i zbawienie ojczyzny niemieckiej".

Pewnego dnia ozwał się Hitler do swych towarzyszy: „Pójdźcie, teraz wypędzimy tych, co płaszcą się przed wrogiem i nie chcą pomóc do uczynienia Niemiec napowrót wolnymi i silnymi". Lecz przyszedł „zły dzień" (zamachu monachijskiego). Zły duch namówił żołnierzy niemieckich, aby „strzelali do swych niemieckich braci". — Padło szesnastu towarzyszy Hitlera. On sam dostał się do więzienia.

Tam rozmyślał nad ocaleniem ojczyzny, a wyszedłszy na wolność, znów rozpoczął swą wędrówkę po kraju i swe płomienne mowy. Gromadziło się koło niego coraz więcej ludzi — i oto „wśród dźwięku bębnow i rogów, wśród szumu chorągwi bataliony szturmowe krocą po ulicach".

Teraz następuje na zakończenie obrok duchowy dla dziateczek: „Młodzież hitlerowska maszeruje i odbywa ćwiczenia. Ten, kto chce zostać dobrym szturmowcem, musi jako chłopiec być śmiały, wytrzymały i nieugięty. Młodzież hitlerowska odbywa razem wycieczki i uczy się znać i kochać swą ojczyznę. Podczas tych wypraw pomaga sobie wzajemnie jako dobrzy koledzy i tym sposobem przynosi chlubę brunatnym koszulom, które pozwalają jej nosić, jak dorosłym".

A cóż z dziewczętami? „Hitlerowskie dziewczęta również maszerują i ćwiczą się, aby nabrać siły. Jak hitlerowscy chłopcy, uczą się one potężnie brzmiących pieśni i marszów, które przypominają o każdym czasie Niemcom, że są złączeni. Na wycieczkach wspomagają się wzajemnie i uczą się wielu rzeczy, które przydadzą się im później, gdy będą gospodyniami. Później będą pragnęły utrzymywać swe domy, czysto, dobrze gotować i szyć. Lecz przede wszystkim uczą się poddania i posłuszeństwa. A to, wy wiecie, dziateczki, jest bardzo ważne".

Takie to bałki znajduje dziś niemieckie dziecko pod choinką. Nie widać w książce zbyt wiele talentu literackiego, a zrećność, z jaką autorzy podają dzieciom swój materiał propagandowy, ośmiesza. Jest to typowa zrećność niemiecka. Z tem wszystkim książka niewątpliwie spełni swe zadanie. Warto ją było streścić, gdyż wiele mówi o duchu, jaki ogarnął Niemcy i jaki starsi szczepia tam młodemu pokoleniu.

Najdzielniejsi sojusznicy człowieka

Białe ciała krwi i ich znaczenie w organizmie

W kołach lekarskich szczególną uwagę ścigają na siebie w obecnym momencie choroby krwi. Wśród nich zaś omawia się przede wszystkim tę, która otrzymała nazwę leukemii (białaczki). Trudno pokrótce rozstrząsnąć tę kwestię, a to tem więcej, że nie została ona jeszcze rozstrzygnięta w sposób definitywny. Zdaje się jednak, że byłoby wskazaniem, po zaznaczeniu, że głównym symptomem leukemii jest znaczne powiększenie białych ciałek krwi, szerze nieco omówienie czym są owe ciała, o których w ogólności szersza publiczność wie niewiele.

Istotnie, kiedy się myśli o krwi, przed wyobraźnią jawi się płyn czerwony i przypominają się wspomnienia z czasów szkolnych, uczące, że ten kolor krew zawdzięcza małym ciałkom okrągłym o kształcie dyska (krążka), które właśnie zawierają tę kolorową materię. Ich nazwa „czerwonych ciałek" stała się pochoździ. W tem wspomnieniu zapomina się o wielu rzeczach, a w szczególności o elementach pierwszorzędnej znaczenia, nad którymi nauka pracuje od XVIII wieku i których jeszcze nie zbadała całkowicie do dnia dzisiejszego. Tyle w każdym razie wiemy o tem, że znajdujemy się wobec zagadnienia niezwyklej wagi. Chodzi o białe ciała (leukocyty) odkryte przez Spallanziniego w r. 1678.

Ciała czerwone posiadają historię stosunkowo prostą, przynajmniej od momentu, gdy zbadany został mechanizm krążenia. W krwi znajdują się one albo osobno, albo nagromadzone jak stosy talerzy. Średnica każdego krążka wynosi 7/1000 mm. Wiadomo też, że znajduje się ich około 5 milionów na każdy milimetr sześć. krwi. Substancja kolorowa, którą zawierają, otrzymała nazwę hemoglobiny. Dzięki niej na powierzchni płuc chwytają one tlen z powietrza, a następnie rozprowadzają go do wszystkich punktów ciała najbardziej oddalonych i najmniejszych. Są to niejako lilipucie ładunki niezbędne, jednak czysto bierne, przeznaczone do rozwożenia cennego tlenu bez którego życie nie mogłoby istnieć, pracując bez przestanku w dzień zarówno jak w nocy w ciągu kilku tygodni, poczem stare, zużyte skończone wychodzą z obiegu, lecz natychmiast są zastępywane przez inne.

Białe ciała są innego rodzaju i grają odmienną rolę, w szczególności bardziej czynną. Pokazują się one pod mikroskopem w kształcie masy o rozmiarach, przynajmniej przez większą część czasu, dużo znaczniejszych, skoro średnica ich wynosi od 7 do 20/1000 mm. Jest ich też dużo mniej niż poprzednich, albowiem przeciętnie na mm. sześć. liczba ich wynosi 6 do 7.000 podczas gdy tamtych jest około 5 milionów. Można tedy powiedzieć, że spotyka się jedno ciało białe na 600 do 700 ciałek czerwonych, lecz pierwsze jest za to wyposażone w życie i działalność intensywną, których to cech brakuje drugiemu. Białe ciało nie zadawała się tem, żeby było ponoszone przez prąd, który bez przerwy płynie przez arterie, naczynia włoskowate i przez żyły. Ono posiada swe własne życie nie stadowe. Poza tem żyje ono nie w pełnym prądzie, lecz na ścianach naczyń, po których się czołga gotowe zresztą pójść wszędzie tam, gdzie to jest potrzebne. To ciało protoplazmy podobne jest do tworów mikroskopijnych i pierwotnych, które nazywamy amebami. Ono potrafi skierować się tam gdzie mu się podoba, do tego co mu się podoba, o ile nie jest to nadużyciem języka przypisywać temu lilipuciemu elementowi właściwości woli i upodobań. W każdym razie posiadają te ciała i to zgodnie z wyobrażeniami najbardziej naukowymi zdolności taktyczne, zmieniają miejsce, wypuszczając przedłużenia, rodzaj odnóży, a następnie

z powrotem je wciągając. Gdy zostaną pociągnięte przez substancje obce w stosunku do całości, której część stanowią, pochłaniają je, posługując się owymi niby odnóżami i następnie starannie je przetwarzając. Dokonują tedy czynności organizmu posuniętego znacznie w swej ewolucji. Co więcej one nie tylko pozostają w naczyniach krwionośnych: jeżeli zachodzi potrzeba, one porzucają to naczynie w którym się znajdują, umiając zmniejszyć się do tego stopnia, że przechodzą przez ścianki naczyń włoskowatych pozornie nienaruszalne. Dzięki temu spotyka się je zewnątrz krwi, w limfie, w gruczołach i jeszcze gdzie indziej.

Zanim przejdziemy dalej, należy zwrócić uwagę, że we krwi znajduje się cała gama białych ciałek, a nie tylko jakiś jednolity typ. Ponieważ chodzi tu o rodzinę bardzo skomplikowaną, są trudności aby każdemu z jej różnych członków dać imiona. Do wyróżnień jednak częściowych doszło, przede wszystkim opierając się na jądrami tych komórek, wedle tego czy posiadają one jedno jądro czy też kilka, rozróżnia się w pierwszym rzędzie ciała jednokomórkowe i ciała wielokomórkowe. Wśród pierwszych to zn. jednokomórkowych wprowadzony został dalszy podział, który ograniczył się zresztą do różnicowania na wielkie i małe. Dla wielokomórkowych sprawa jest bardziej skomplikowana. — Jako kryterjum podziału przyjęto ich zachowanie się wobec barwików, którym się je poddaje w laboratorjach. Są tedy ciała wielokomórkowe neutralne, które absorbują łatwo barwki chemiczne neutralne, dalej te które pozwalają na siebie oddziaływać barwikom zasadowym, od czego, nazywane są ciałkami wielokomórkowymi zasadowymi. — Wreszcie takie, które są czułe na barwki kwasowe i stały się zwane ciałkami kwasowymi. Ponieważ zaś wśród barwików kwasowych wyróżnia się eozy-na, nazywa się je najczęściej ciałkami eozynowymi albo eozynofilami.

Zkolei zastanowimy się do czego służą białe ciała. Wiedząc o tem, że się spotyka je prawie wszędzie, mamy prawo uważać, że krew służy im tylko jako pojazd za pomocą którego mogą one udawać się tam, gdzie zachodzi potrzeba i ich powołaniem jest — jeśli tak można powiedzieć — kierować się do miejsc najbardziej różnorodnych, ponieważ wśród innych zadań one sprawują przede wszystkim straż policyjną organizmu. Są one skrupulatnymi zamiataczami powołanymi do niszczenia wszelkich nieczystości, a w szczególności do usuwania obcych substancji, które mogłyby zaszkodzić jednemu z naszych organów lub całości. Te funkcje zaufania spełniają one już we krwi, ponieważ do niszczycieli zaliczają one zużyte ciała czerwone ginące po krótkiej egzystencji.

Jednak jest to tylko drobna część ich pracy, jeśli się porówna z tą ich działalnością, którą wykonują gdzieindziej. — Wszędzie gdzie spotkają one substancje mogące nam zaszkodzić, działają w ten sam sposób, pochłaniają je swymi niby odnóżami, a następnie wciągają do wnętrza przetwarzają. Miecznikow, były wicedyrektor Instytutu Pasteura, wyjaśnił ten rodzaj wieczystej obrony naszego organizmu przeciwko nieprzyjaciółom jego zdrowia. On nazwał tę obronę fagocytozą. Czyż trzeba objaśnić, że obrona ta podejmowana jest przede wszystkim przeciwko nieprzyjaciółom mikroskopijnym, których znamy pod nazwą mikroby lub bakterie. Jednak w ciągu tej walki przeciw mikrobowi, które są znakomicie uzbrojone w toksyny odkryte przez prof. Roux, białe ciała są narażone na wielkie niebezpieczeństwa: bardzo często przyplacają one swą odwagę śmierci. Jeśli np. zaznaczy się zapalenie na jakimkolwiek miejscu naszego ciała, białe ciała zmobilizowane

przez jakąś władzę tajemniczą nadbiegają tam tłumnie. Wywiązują się wielką batalją, w której są ofiary po obu stronach. Przetrawiać substancje toksyczne jest bardzo niebezpieczne. To też truły białych ciałek znajdujemy masowo w ropie, której pojawienie się towarzyszy tak często ciężkim zakażeniom.

Zatem w tych tragicznych spotkaniach białe ciała giną w wielkiej ilości, lecz pozostałe przy życiu nabywają prawdopodobnie nowych właściwości przetwarzając swych zwyciężonych przeciwników. W ten to sposób biorą one aktywny udział w wypracowaniu antytoksyn, inaczej zwanych odturkami, które natura przeciwstawia najeźdźcom. Dla każdego rodzaju trucizny istnieje specjalna odturka i to prawdopodobnie w ciągu walk tego rodzaju białe ciała zdołało zasymilować sobie substancje, które z ofensywnych stały się obronnymi. W ten to sposób zdobywa się odporność przeciwko wielu chorobom zakaźnym i dlatego ten, kto chorował np. na tyfus może przez długi czas nie obawiać się tej choroby.

Z tego, co poprzednio powiedziane, wynika, że białe ciała to bardzo poważne osobowości. To też warto śledzić wszystkie ich perypetie, zmiany formy i liczb. Jednak takie badanie jest różne, o ile chodzi o różne miejsca, gdzie ich powołała służba czystości. Pozostaje tedy krew, gdzie łatwiej poddać ich badaniu. Pierwsze zjawisko, które tu uderza, to fakt, że ciała białych znajdujemy we krwi tem więcej, im szybsza i aktywniejsza jest mobilizacja przeznaczona do odparcia niebezpieczeństwa.

Jeżeli tedy u zdrowego człowieka istnieje na jedno ciało białe około 700 ciałek czerwonych, to ten stosunek w wypadkach chorobowych ulega poważnym zmianom. Spadek cyfry leukocytów (białych ciałek) jest rzadki w ciężkich chorobach, jednak można to stwierdzić w ciągu gorączki tyfoidalnej, a nadto jest on dość częsty przy malarii i febrze, łatwo sobie przedstawić w jakim stopniu to zjawisko ułatwia diagnozę w wypadkach chorób gorączkowych.

Powiększenie liczby leukocytów jest zasadniczo regułą przy chorobach ciężkich. Mianowicie stwierdza się to zjawisko przy ropieniach i fakt ten odpowiada potrzebie mobilizacji, o której mówiliśmy powyżej. Organizm posyła jak największą liczbę walczących na zagrożony punkt. Dzięki temu można odkryć ropienie nawet bardzo dyskretne, albo ukryte, nieujawniające pozatem żadnego znaku. Kiedy zaś liczba leukocytów przekracza cyfrę najbardziej podniesioną, kiedy liczy się ich na setki tysięcy, wówczas znajdujemy się w obliczu leukemii, która stanowi dzisiaj przedmiot zainteresowania i badań.

Oprócz liczby leukocytów interesującą jest kwestja wzajemnego stosunku poszczególnych ich typów. U człowieka o dobrej zdrowiu na 100 białych ciałek jest ich 33 jednokomórkowych, 67 wielokomórkowych, z których to ostatnich jedna eozynowa. Jeśli ten stosunek ulega zmianie, mamy do czynienia z wypadkami chorobowymi. Każdy pojmie, jak odnośna statystyka ułatwia diagnozę.

W rezultacie już ta krótka i sumaryczna wycieczka do dziedziny drobnych tworów mało znanych jest pokrzepiająca w tym względzie, ponieważ wskazuje ona, że obrona naszego organizmu jest zapewniona we właściwym czasie sposobem bardzo skutecznym, i że lekarz posiada środki, aby rozpoznać w którym punkcie ona słabnie, aby w konsekwencji mógł ją wzmocnić, co od Hipokrata było jedną z podstawowych zasad sztuki leczenia.

W.

Radio - rajem dzieci

Działem dziecięcym interesują się nie tylko młodociani abonenci „Polskiego Radja”. Na audycje te baczna uwagę zwracają rodzice i wychowawcy znajdujący w nich pomoc w dostarczaniu dzieciom rozrywki i wiadomości. Istnienie działu dziecięcego wśród programów „Polskiego Radja” datuje się od roku 1926. Początkowo audycje te nadawane są sporadycznie, lecz już w następnym, 1927 roku zostają ujęte w stałe ramy programowe. Odtąd następuje ciągłe ulepszanie ich formy, różniczkowanie treści i przystosowywanie do potrzeb i wymagań współczesnej dziatwy, tak bardzo różniącej się pod względem swych zainteresowań i zamiłowań od dzieci z czasów przedwojennych. Audycje 50—60 minutowe, jako zbyt długie — zostają skrócone do minut 12—15. Najdłuższe trwają minut 30. Uległy również zmianie poruszane tematy: gdy dawniej przeważał element baśniowy, obecnie lwia część programów wypełniają pogadanki i feljetony z zakresu techniki, wynalazków, sportu, podróży, przyrody itp. również pogadanki oraz dialogi na temat życia szkolnego i jego organizacji. Oczywiście, ewolucja ta zakończona nie jest — przewidywane są dalsze zmiany i reformy, zmierzające do najwłaściwszego obsłużenia małoletnich słuchaczy.

Dział dziecięcy od roku 1932 stanowi część integralną Wydziału Literackiego „Polskiego Radja”, pozostając pod kierunkiem p. Wandy Tatarkiewicz-Małkowskiej. Audycje utrzymywane są w charakterze rozrywkowym i przeznaczone są dla dzieci od lat 7 do 14. Zawierają one: feljetony i pogawędki, dialogi, zagadki, szarady, konkursy, skrzynkę pocztową, bajki, powiastki dla najmłodszych, — dłuższe i krótsze słuchowiska, wreszcie poranki muzyczne dla młodzieży, transmitowane we czwartki z Filharmonii Warszawskiej.

Od paru lat czynione są również próby „radjofonji szkolnej”, mającej na celu uzupełnienie nauki, otrzymywanej w szkołach. Radjofonja szkolna znakomicie rozwija się w krajach zagranicznych, zwłaszcza w Ameryce, Anglii, Niemczech itd., oddając wielkie usługi szkolnictwu. Rozwój tej gałęzi programów w Polsce utrudniony jest wskutek braku należytej ilości radjoodbiorników w szkołach zarówno powszechnych, jak średnich. Najliczniejsze próby radjofonji szkolnej czynione są przez rozgłośnie lwowską, która w ciągu roku szkolnego nadawała co sobotę t. zw. „audycje szkolne”.

Ogółem od dnia 1. 9. 1926 r. do 1. 9. 1933 r. Dział Dziecięcy nadał pokaźną liczbę audycji dla dzieci i młodzieży: 1649. Z tych 495 zbiorowych (słuchowiska, audycje okolicznościowe, uroczyste obchody itp. i 1154 solowych (pogadanki, odczyty, feljetony i dialogi). W ciągu wspomnianego okresu nadano także około 500 audycji muzycznych i poranków szkolnych. Audycje te stanowiły tzw. program centralny, czyli były transmitowane przez wszystkie rozgłośnie. Niezależnie od programu centralnego stacje prowincjonalne nadają poważną ilość audycji dziecięcych we własnym zasięgu. Wyszczególnione powyżej cyfry dowodzą, niezbiecie, że „Polskie Radjo” nie zaniedbuje swych młodocianych abonentów.

Kierownictwo Działu okazuje również dużą staranność w doborze sił prelegentów i autorskich. Piszą i przemawiają do dzieci: Marja Dąbrowska, Marja Dynowska, Janina Porazińska (red. tyg. „Piłmyczek”), Ewa Szelburg-Zarembina, Kazimierz Konarski, Benedykt Cyrtła prof. Aleksander Janowski, prof. Henryk Mościcki, Ferdynand Ossendowski, Wacław Rogowicz, prof. Jan Rostafiński, prof. Stanisław Sumiński, dr. Feliks Burdecki, Wanda Woytowicz-Grabowska i wiele innych wybitnych sił na polu pedagogiki i piśmiennictwa dla młodzieży.

Najlubiejszym rodzajem audycji są słuchowiska, które dla dziatwy prowincjonalnej, stanowiącej najwzdzięczniejszy element radjowy, zastępują teatr dziecięcy. Słuchowiska te o treści historycznej, podróżniczej lub baśniowej, łączą prawie zawsze żywe słowo z muzyką i śpiewem; pobudzają one wyobraźnię młodzieńczego słuchacza i umuzykalniają go. Jak bardzo przypadł do gustu radjosluchaczom oraz ich wychowawców ten rodzaj audycji, świadczą liczne nadsyłane prośby o teksty i piosenki nadanych słuchowisk, aby je dziatwa sama mogła wykonać na szkolnych przedstawieniach. Podkreślić należy, że słuchowiska kwalifikowane są przez Komisję Literacką „Polskiego Radja” i wykonywane przez wybitne siły artystyczne, co gwarantuje ich należyty poziom artystyczny.

Odrębny rodzaj audycji stanowią konkursy szaradowe oraz dziecięca skrzynka pocztowa. Mali słuchacze zamieniają tutaj rolę bierne na czynne, co ich z radjem zaprzyjaźnia i zachęca do korzystania z aparatu. Z zapalem rozwiązywane są wesole, dowcipne zagadki i żarciki, podawane ze specjalnym humorem przez „wujaszka zagadkowego” — p. Henryka Ładosza. Oczywiście niełada atrakcją jest wywoływanie imion autorów trafnych rozwiązań, jakoteż przyznawanie nagród w postaci książek, farb, ołówków kolorowych itp.

Jeszcze donioślejsze znaczenie i wdzięczniejsze zadanie ma „radjosczytka”, prowadzona przez kierowniczkę Działu p. Wandę Tatarkiewicz — Małkowską, zwaną popularnie przez „córeczki i synków” — „mamusia radjowa”.

Skrzyneczka ta stale zapełniona jest listami najrozmaitszej treści. Są tu i oceny poszczególnych audycji i przeróżne dezyderaty i zwierzenia osobiste, a nawet wzajemne korespondencje małych słuchaczy. Dokoła owej małej radjosczyteczki utworzyło się coś w rodzaju stowarzyszenia dziatwy, czyli tzw. „rodzinka radjowa”, zdolna już dziś do pewnych czynów zbiorowych i wykazująca nieraz dużą solidarność, skłonność do niesienia sobie pomocy itd. Wpływa to na dzieci niezmiernie uspołeczniająco. Zastugą i dziełem tej „radjo-rodzinki” jest np. obdzielanie ubogich rówieśników upominkami gwiazdkowymi, wspieranie najsłabszej dziatwy, kolonij letnich, rozsyłanie książek, pomocy naukowych, oraz zabawek szkołom na kresach itp.

Jedną z ciekawych audycji Działu Dziecięcego jest ogłaszany w każdą niedzielę radjotygodnik pt. „Co się dzieje na świecie”, redagowany w ostatnich czasach na dier interesująco przez Brunona Winawera. Radjo-tygodnik przeznaczony jest dla starszej młodzieży i zawiera mnóstwo informacji o wszystkich godnych uwagi faktach, zwłaszcza na polu walki geniusza ludzkiego z siłami przyrody.

Prócz audycji, wykonywanych przez siły literackie i pedagogiczne, nieraz do mikrofonu dopuszczane bywają też zespoły uczniowskie przeważnie ze szkół powszechnych, wykonujące śpiewy chóralne, recytacje itp. Występy te mają ogromne powodzenie wśród dziatwy, z zainteresowaniem słuchającej produkcji swych rówieśników.

W dziale audycji dziecięcych oprócz

centrali warszawskiej, która nadaje większość programów, współpracują rozgłośnie prowincjonalne. Najintensywniej pracuje rozgłośnia lwowska z p. Adą Jampolską na stanowisku kierowniczym Działu Dziecięcego oraz Wilno, gdzie wszystkim małym abonentom znana jest dobrze od szeregu lat sympatyczna Ciozia Hala (p. Halina Hohendlingerówna). Niemniej popularne są audycje dla dzieci, nadawane we własnym zasięgu przez rozgłośnie: poznańską i katowicką.

Na najbliższy rok szkolny przewidywany jest następujący rozkład programów: audycje dla dzieci od lat 7 do 14 odbywać się będą w niedzielę, czwartki i święto w godzinach popołudniowych. Czas trwania — minut 30. Zawierać będą wymienione już rodzaje: a więc pogadanki, feljetony, odczyty, dialogi, rozrywki i tmsłowe, skrzynkę pocztową, słuchowiska, bajki i powiastki dla najmłodszych. Również w niedzielę nadawany będzie radjotygodnik „Co się dzieje na świecie” w redakcji p. Bruno Winawera. W dalszym ciągu odbywać się będą czwartkowe poranki muzyczne, którym wysoki poziom artystyczny zjednał b. wielu zwolenników nie tylko wśród dziatwy, lecz także wśród osób dorosłych oraz osobotnie „audycje szkolne” ze Lwowa. Przewidywane są również audycje specjalne, związane z uroczystościami i obchodami narodowymi, a także z nowopowstałymi świętami, jak „Dzień Matki Dziecka — Dzień Dobrej Woli — Dzień Spółdzielczości” itp. Słowem w zakresie audycji dziecięcych „Polskie Radjo” usiłuje w miarę możliwości dać wszystko, co może małoletniego odbiorcę zainteresować, bawić lub wzruszać — wszystko, co winno wpłynąć na wzrost jego poczucia obywatelskiego i rozwój umysłowy.

—o—

11.000 sposobności zostania radjosluchaczem

Z dniem 5-go października r. b. wydane zostało rozporządzenie, zawierające znaczne ułatwienia dla nowych abonentów radjowych.

Już sama procedura składania deklaracji została znacznie uproszczona. Mówi o tem wyraźnie par. 4 rozporządzenia, w którym czytamy:

„Opłaty radjofoniczne pobierane będą przez urzędy pocztowe (agencje), zgóry, miesięcznie, kwartalnie lub rocznie zależnie od życzenia płatników.”

„O ile zezwolenie uzyskano do dnia 10-go włącznie danego miesiąca, opłata radjofoniczna obowiązuje do dnia 1-go tego miesiąca, o ile zaś zezwolenie uzyskano po dniu 10-tym danego miesiąca, opłata radjofoniczna obowiązuje od 1-go następnego miesiąca.”

Nowe rozporządzenie upraszcza również znacznie wydawanie t. zw. uprawnień na prawo nabywania, zakładania i używania urządzeń odbiorczych radjofonicznych. Uzupełnienie zawarte w par. 2 w dziale instrukcji w sprawie urządzeń radjofonicznych przy użyciu detefonu wprowadzają szereg ułatwień, których nie zawierało poprzednie zarządzenie Min. Poczty i Telegrafów z dnia 27-go września 1929 r. W instrukcji powiedziane jest, że:

„Osoba pragnąca otrzymać upoważnienie wymienione w ustępie poprzednim wypełnia i składa w urzędzie, lub agencji pocztowo-telegraficznej zgłoszenia na druki i zobowiązania. „Obydwa druki wydaje się bezpłatnie.”

„Przy złożeniu zgłoszenia i podpisaniu zobowiązania interesant uiszcza tytułem opłaty wstępnej zł 3. Opłaty

kancelaryjnej w tym wypadku nie pobiera się.

Rozporządzenia te odnoszą się do wypadku, w którym abonent nabywa jednocześnie komplet „detefonowy”, o którego dostarczenie urz. poczt. zwraca się do Państw. Zakł. Tele- i Radjotechnicznych. Następnie ten sam urząd zawiadamia abonenta o nadejściu kompletu detefonowego, względnie (np. na prowincji) komplet taki przesyła deklarantowi, który wpłaca zł 4.50 tytułem opłaty abonamentowej za pierwszy miesiąc, pozostałe zł 49.50 spłacając w następnych jedenastu ratach miesięcznych. Razem więc, łącznie z pocztowym wpisem zł 3, nowy abonent nabywający jednocześnie komplet detefonowy płaci w ciągu roku zł 57, w której to sumie mieści się zł 36 za roczny abonament i zł 21 za komplet odbiorczy. W ten sposób doskonały polski odbiórnik detektorowy został dla nowego abonenta obniżony ze zł 39 na 21 zł czyli o zł 18. To wielkie udogodnienie w kierunku zachęcenia szerokich sfer do korzystania z dobrodziejstw radjofonji, jak również w kierunku popierania przemysłu radjotechnicznego, zasługuje na specjalną uwagę.

Skoro w powyższym zarządzeniu jest mowa o urzędach i agencjach pocztowo-telegraficznych, obowiązanych do pośredniczenia w przyjmowaniu opłat abonamentowych, warto przypomnieć, że w dniu 1-szym listopada r. b. czynnych było w całej Polsce 3.708 urzędów i agencji pocztowo-telegraficznych. Ponieważ składanie deklaracji wszelkiego rodzaju łącznie z zamówieniami, zrzeczeniami się, wpłacaniem rat za abonament lub ra-

djosprzet może odbywać się za pośrednictwem listonosza, wypada, że rozporządzenie daje zgórą 11.000 sposobności zostania radjoabonentem z pominięciem dawnej dość skomplikowanej procedury zgłaszania się bezpośredniego.

Bezwątpienia rozporządzenie to wpłynie na dalszy wzrost liczby radjoabonentów polskich, która z 320 tysięcy w marcu 1932 r. spadła w październiku roku bieżącego do 261.724, aby w dniu 1-szym grudnia podnieść się do 293.012.

Już dnia 15-go grudnia suma zarejestrowanych abonentów przekroczyła liczbę 300.000.

Kiedy dodziemy do pół miliona?

Nowinki radjowe

Pierwszy tele.kinematograf. Gorliwy pionier telewizji, profesor Baird, umieścił na szczycie jedynej w świecie Cristal Palace'u w Londynie projektor kinematograficzny dla obrazów przesyłanych drogą radjową. Fale eteru, użyte przez prof. Bairda, są falami krótkimi, odznaczającymi się — jak to stwierdził Marconi — wielką łatwością użycia. Fale te mają dotychczas niewielkie zastosowanie, co pozwala je użyć do modulacji obrazów na szerokim odcinku taśmy. Słabą ich stroną jest wszakże ta okoliczność, że materialne przeszkody znacznie je osłabiają, wskutek czego transmisja filmów może się odbywać jedynie w horyzoncie optycznym. Jest to niezaprzeczenie defekt dość poważny, gdyż tele.kinematografia interesuje nas głównie tem, że odtwarza dla naszego wzroku rzeczy, które się dzieją, dzieją daleko na kuli ziemskiej. Musimy się jednak godzić z usterkami kinematografu przyszłości ze względu na jego wiek niemowlęcy.

—o—